Nr. 27. Lwów Niedziela dnia 2 Lutego. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h.
w Niemczech . . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy nieść równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . 12 h.
Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h.
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: E. Męs. NM. Grom. | N. 2 po B. Hł. 2
Jutro: św. Błażeja B. | Maxyma

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 7 m. 35
Zachód „ „ 4 m. 54

Długość dnia godzin 9 minut 19
Przybyło dnia od wczoraj 4 min.

Rozprawa o wolności sumienia.

Dziwne wrażenie sprawiają wiadomości, nadchodzące ustawicznie z Berlina! — wrażenie zawsze jedno i zawsze straszne. Tam każdy polityk, każde stronnictwo, każda instytucya mimowoli mówi o sobie to, czego nie chce powiedzieć, mimowoli oskarża siebie; na ustach ma zawsze jakieś wielkie idee, jakieś wzniosłe ideały, ale przytem domaga się rzeczy, których pożądanie odsłania duszę bezbrzeżnie egoistyczną, oschłą, pełną uprzedzeń i nienawiści. Niepodobna wyobrazić sobie większej sprzeczności między słowami Germanów a tym obrazem germańskiej duszy. Sprzeczność ta wskazuje, że się rozkłada umysłowe życie tego narodu i jego moralność — i że społeczne życie wpadło w jakiś wir, z którego nie ma ocalenia. Tak samo w dobie wielkiej rewolucyi francuskiej, kiedy ze wszystkich ust leciały wyrazy „wolność, równość i braterstwo“, kiedy na wszystkich rogach ogłaszano prawa człowieka, odsłonił rzeczywisty stan francuskiej duszy, stan duszy drapieżnej wówczas, słynny apologeta Nerona, adwokat jego Linguet, który wszystkie łotrowstwa i zbrodnie tego cezara usprawiedliwiał wielką jego ideą — „racyą stanu“. Linguet jest wynalazcą tego pojęcia, w którem tkwi zupełne pomieszanie dobrego i złego, oraz zupełne ich nie rozróżnianie. „La raison d'Etat“ pozwoliła Neronowi urządzać świeczniki z chrześcijan, zamordować własną matkę, podpalić Rzym i przy świetle tego pożaru śpiewać z lirą w rękach i z różanym wieńcem na głowie; „la raison d'Etat“ popchnęła rewolucyonistów francuskich do burzenia świątyń, do ścinania niewinnych, do nakazu, aby się modlono do napół ubranej aktorki, jako wyrazicielki największego rozumu — La Raison Suprême; tasama racya stanu każe dzisiejszym Germanom popełniać nieprawości w imię jakichś wielkich idei, jakichś wzniosłych ideałów.

Takie wrażenie sprawiają wiadomości, nadchodzące ustawicznie z Berlina. Kiedy kanclerz hr. Bülow zachwala projekt taryfy celnej, tej taryfy, która wzbogaci junkrów, a zuboży biedaków, i kiedy kończy tę mowę słowami, zwróconemi do katolickiego centrum, a wyjętemi z Szyllerowskiego dramatu: „Jam swoje zrobił, teraz na ciebie kolej, kardynale!“ — to mimowoli po wzniosłych słowach odsłonił prawdziwy stan germańskiej duszy. Filip II zrobił swoje, poczem, oddając syna swego Don Carlosa w ręce inkwizycyi, wezwał kardynała, aby on swoje zrobił. Taksamo kanclerz opracował taryfę celną, a katolickie centrum niech ją uchwali... W parę dni potem przychodzi pod rozprawę w parlamencie wniosek katolików o przyśpieszenie już uchwalonej ustawy, znoszącej zakaz wydany przeciw OO. Jezuitom. P. Posadowsky w imieniu rządu, dr. Stockmann w imieniu junkrów, dr. Busting, jako rzecznik liberałów, p. Staudy, jako reprezentant hakatystów pracujących w Poznańskiem — wszyscy oni długo deklamują o szacunku dla wszelkich uczciwych przekonań, o niezrównanej tolerancyi, jaka zawsze ożywia Niemców, o potędze, która tkwi w zasadzie, że wolności sumienia nie wolno krępować — i wszyscy kończą tem, że OO Jezuitów nie można wpuścić do państwa. Dlaczego? Junkier powiada, że Jezuici nadużywają kazalnicy, liberał — że protestanci ich się boją, hakatysta — że Jezuici, osiedleni w Poznańskiem, wzmocnią uczucia religijne, a to znów wyjdzie na korzyść polskości. Trzeba więc dobrze się namyśleć, zanim takich niebezpiecznych ludzi wpuści się do państwa, ale nikt im nie odmawia szacunku i uznania, nikt nie chce ich prześladować, każdy przyznaje, że są zacni, pracowici, pełni poświęcenia i gorliwości. Nie oni winni, że nie mogą być w Niemczech, ale winne są specyalne stosunki w różnych okolicach państwa: w jednych stronach lutrzy się zaniepokoją, w innych polskość się wzmoże — wszędzie się zachwieje błogi spokój, nastanie religijny ferment.

Lecz po tych mowach wstaje katolik Spahn i mówi: „Powiadacie, że nikt Jezuitów nie prześladuje, tak wymownie oddajecie im uznanie, jakżebyście byli ich zwolennikami. To były piękne słowa, więc teraz spojrzmy na wasze czyny. Oto, rząd pruski, który po zeszłorocznej uchwale parlamentu, znoszącej banicyę Jezuitów, przyrzekł w tym duchu pracować w radzie związkowej, wkrótce potem poufnie udał się do rządu holenderskiego z natarczywem żądaniem, aby z Holandyi wypędzono niemieckich Jezuitów. Ale ministeryum holenderskie odpowiedziało, że poznało wartość tych kapłanów, pełnych bożego ducha, i jest dumne z tego, że — lubo wyznaje protestantyzm — może dać przytułek tym wygnańcom i otoczyć ich opieką, jakiej im odmówiła ich własna ojczyzna. Prześladujecie nietylko Jezuitów, ale wszystkich, którzy o Jezuitach dobrze myślą. Zdarzyło się w ostatnich czasach, że uczeni cudzoziemcy w swych naukowych odczytach oddali wielkie pochwały stowarzyszeniu jezuickiemu — i oto zaraz owych cudzoziemców wydalono z państwa. Zawsze na ustach waszych fałsz. Wojujecie największą niesprawiedliwością, bo ustawami wyjątkowemi przeciw ludziom, którzy nic nie zawinili. Lecz pamiętajcie, że każda krzywda mści się tu, na ziemi. Nie unikniecie sądu Bożego, choć może nie każdy z was doczeka się go. Młyny Boże mielą bardzo powoli, ale za to straszliwie drobno!“

P. Spahn musiał skończyć, bo się niesłychanie oburzyli zacni junkrowie, i pełni wzniosłych ideałów liberałowie, i niewinnie cierpiąca od złośliwości polskiej hakata. Ale gdy przeminęło wzburzenie tych Neroników, śpiewających ody do ideałów, odezwał się szyderski głos socyalisty Blosa. „Panowie z centrum! — rzekł on — wy przecież jesteście rządowi ogromnie potrzebni. Bez was ani taryfa celna nie przejdzie, ani te nowe plany militarne, o których doniósł *Vorwärts*, nie będą zatwierdzone. Spróbujcie więc włożyć na siebie habity jezuickie i wtedy zażądajcie zniesienia ustawy banicyjnej: ręczę, że wasi przeciwnicy wnet zmienią treść swych hymnów, a rząd wyszle poselstwa po Jezuitów!“

Wesoły śmiech na ławach junkierskich, liberalnych i hakatystycznych zakończył tę scenę, — szydersko oklaskiwano radę Blosa.

Klaskali także dworacy Nerona, gdy on z wiankiem z róż na głowie, z lirą w ręku, śpiewał ochrypłym, fałszywym głosem, patrząc na pożar Rzymu.

W sprawie cukrowej.

Wczoraj nadeszła z Nowego Yorku wiadomość bardzo przykra dla austro-węgierskich producentów cukru: cło na ich towar podnoszą Stany Zjednoczone o całą wysokość ulg fiskalnych, z jakich oni korzystają w monarchii. Zatem premia wywozowa i zysk z istnienia syndykatu tracą wszelką dla tych producentów wartość, o ile swój towar wysyłają oni do Stanów. To samo już przedtem zrobił rząd waszyngtoński dla cukru niemieckiego i rosyjskiego, a zapowiedział, że zastosuje tę metodę także do cukru francuskiego, gdy wygaśnie specyalny traktat, zawarty z Francyą. Trzeba dodać, że właśnie teraz, po oficyalnem przywróceniu prawidłowych stosunków mocarstw z Chinami, wejdzie w życie postanowienie, że na pokrycie kosztów wojennej kontrybucyi, wszelki zagraniczny dowóz do Chin będzie opłacał cło, powiększone o 5, albo o 10 procent wartości towaru. Ta nowa opłata z dodaniem „likinów“, czyli ceł opłacanych wewnątrz Chin, na granicy każdej prowincyi, przez którą transport przechodzi, prawie dorówna wysokości premii wywozowej. Zatem można powiedzieć, że i teren chiński jest dla cukrowników stracony. Wreszcie teraz na konferencyi brukselskiej oznajmił delegat angielski, że cała Wielka Brytania musi w interesie swych kolonij, wyrabiających cukier z trzciny, zaprowadzić taki sam system oclenia zagranicznego cukru z buraków, jaki wprowadzają u siebie Stany Zjednoczone. Niektórzy fabrykanci cukru przypuszczają, że Anglia tylko grozi, ale zapowiedzianej reformy nie wykona, bo przez to cukier u niej ogromnieby podrożał. Być może, że odrazu tej reformy nie zaprowadzi, lecz będzie stopniowo podnosiła cło. Jej minister skarbu p. Hicks-Beach już oznajmił w parlamencie wniesienie billu o powiększenie cła od cukru z buraków z 10-ciu na 20 procent wartości towaru. Przypominamy tu, że komisya parlamentu japońskiego zastanawia się nad projektem zastosowania do zagranicznego cukru metody Stanów Zjednoczonych. Tak tedy prawie wszystkie państwa, które nie dają swoim fabrykantom cukru żadnych ulg fiskalnych, uzbrajają się przeciw premiom cukrowym. Stracą więc one wszelką wartość dla tego przemysłu. Na tem opiera się nadzieja, że konferencya brukselska uchwali zniesienie premij. Pozostanie zabezpieczyć przemysł cukrowy od klęski w jakiś inny sposób, naprzykład zmniejszyć podatek, aby towar potaniał i przez to był spożywany w znacznie większej ilości przez miejscową ludność. Zwracamy uwagę na tę sprawę dlatego, że powinniśmy mieć się na ostrożności, aby potentaci cukrowi z Czech i Morawy nie przeprowadzili jakichś postanowień szkodliwych dla naszych młodych cukrowni.

Z wycieczki do Norwegii.

P. Władysław Szajnocha opisuje w *Czasie* bardzo zajmująco swoją podróż po Norwegii.

Kto — mówi on — jak piszący te słowa, z hałaśliwego, ludnego, bogatego Hamburga po trzydziestokilku-godzinnej morskiej podróży dobijał do brzegów Bukkenfjordu i ze Stawanger płynął dalej wśród niezliczonych nagich wysp i wysepek ku fjordowi Hardanger, ten musiał doznać w pierwszej chwili uczucia niezmiernej pustki, głuchej i smutnej, jak te ciemne, gładkie, obmyte skały, wśród których tylko zawsze potężne morze jest elementem ruchu i życia.

„Na dziesięciu tysiącach morgów jednej krowy tutaj nie wyżywi“ — mówił do mnie jeden z przypadkowych towarzyszy podróży, stojący na pokładzie kupiec z Drezna, który stracił już był zupełnie — pomimo karty okrętowej na całą daleką podróż okrężną — ochotę do bliższego poznania Norwegii. Istotnie, gdy się z tej południowo-zachodniej strony rozpoczyna podróż po Norwegii, potrzeba być albo geologiem namiętnym, albo przyrodnikiem wogóle, albo nieustraszonym turystą, aby nie stracić fantazyi i chcieć dalej płynąć na tem czarno-zielonem, groźnem morzu, wśród ciemnych, ponurych skał granitowych i gnejsowych, na których tu i owdzie, zrzadka tylko i zawsze odosobnione, widnieją małe, na ceglasto lub wiśniowo malowane domki bez ogródków, bez drzew i kwiatów, bez ruchu i życia gospodarskiego, prawie bez ludzi. Nawet Stawanger, pierwszy port, w którym nasz statek — długa a wąska, zgrabna zresztą, ale wcale niewygodna „Mira“ — zarzucił kotwicę, miasto o 25.000 ludności, nie potrafi pogodzić podróżnego z pierwszemi wrażeniami.

Ulice wąskie, górzyste, domki czyste i bardzo porządne wprawdzie, ale monotonne i sztywne, jakby z papieru wycięte, a ludzie na ulicach poważni, milczący, bez uśmiechu i głosu, powoli dążący w różnych kierunkach i tak nic niezainteresowani tymi siedmdziesięciu ciekawymi podróżnymi, których „Mira“ w mgnieniu oka na ląd wyrzuciła. W pół godziny miasto zwiedzone, kilkadziesiąt kart korespondencyjnych wrzuconych do skrzynek pocztowych i pasażerowie wrócili na „Mirę“ jacyś nieswoi, trochę, jak gdyby zaambarasowani, że Norwegia tak zupełnie inaczej, jak ją sobie wyobrażali, wygląda. W parę godzin później i nazajutrz rano, gdy z Hardangerfjordu „Mira“ wcisnęła się do długiego, szerokiego, a tak bardzo malowniczego Sörfjordu, uczucia były inne. Skały koło Stavanger, podobne nieco do ogromnych, z wody wystających grzbietów rekinów czy wielorybów, podniosły się tu wysoko, porzeźbiły u góry koronką poroździeranych turni, nabrały właściwego, potężnego i dzikiego charakteru, wspólnego odtąd wszystkim przez nas później zwiedzanym fjordom południowej Norwegii. Odda, mała wieska u południowego krańca Sörfjordu, witała nas rano mgłą i przenikliwym chłodem, ale za to, gdy mgły ustąpiły i odsłoniły się wysokie, strome ściany, okalające małe napozór jakby jezioro o ciemno-zielonej soczystej barwie, widok był przepyszny i mimowoli przychodziło na myśl to urocze jezioro Hallstadzkie, albo nawet to jedyne może w Europie i tak wspaniałe Bocche di Cattaro w Dalmacyi. Domków w tej wiosce mało, jak wogóle we wszystkich wioskach norweskich, ludzi i życia bardzo niewiele i można było ujść kilka kilometrów wzdłuż imponujących wodospadów, aż po za wdzięczne jezioro Sandrerswand, nie spotkawszy na wąskim, ale doskonale utrzymanym gościńcu więcej nad pięć lub sześć osób miejscowych — kobiet i dzieci — bez śladu gdzieś ukrytej, czy zanikłej męskiej ludności. Życia ludzkiego — pomimo całej wyraźnej i wysokiej kultury widocznej w domach i drogach — widać tutaj, jak wogóle wszędzie we fjordach głębszych, bardzo mało. Elementem, życie i ruch w krajobraz wprowadzającym jest woda, albo raczej wodospad. Widać wodospady wszędzie, w każdym fjordzie, na każdej niemal skale, jedne szerokie, potężne, przewalające masę wody spienionej z ogromnym hukiem i szumem, drugie mniejsze, niższe, cichsze, inne znowu cieńkie, jak białe przerywane nitki, wiszące gdzieś tam wysoko u szczytów gór i zwieszające się z wysokości kilkuset metrów, jakby linie dzielące skałę na części. Nieraz tak w tym, jak i w innych fjordach można było, stojąc na pokładzie statku i nie zmieniając położenia oka, patrzeć równocześnie na kilka lub kilkanaście takich wiszących, powiewnych wodospadów, biorących swój początek z widzialnych lub niewidzialnych płatów śniegowych, albo małych, mikroskopijnych prawie lodowców.

Wodospad powinienby być w herbie Norwegii i w jej fladze, tak starannie teraz od dwóch lat oczyszczonej ze szwedzkiej żółtobarwnej naleciałości. Zieleni, trawników, łąk albo pól koło Oddy jest mało i tę soczystą, trawiastą, prawdziwą zieleń, nawet z domieszką drzew owocowych, poznaliśmy dopiero tegoż dnia wieczorem w Nordheimsund, wiosce, leżącej na północnym brzegu Hardangerfjordu i będącej ulubionem miejscem letniego pobytu dla mieszkańców Bergen, największego na zachodzie miasta norweskiego, odległego od Nordheimsund w prostej linii zaledwie o 40 kilometrów. Tutaj używaliśmy nietylko pięknych widoków, lecz i pięknego, spokojnego wieczoru, przeciągającego się bardzo późno i wzbudzającego podziw w niejednym, z południowych części Europy pochodzącym turyście, iż dnia 3-go sierpnia o godzinie 9-tej wieczorem można było przy powolnym zmierzchu czytać jeszcze na pokładzie, bez szkody dla oczu.

Nazajutrz rano przybyliśmy do Bergen i cały dzień poświęcony był wyłącznie zwiedzaniu tego miasta o 60.000 mieszkańców, starego, handlowego i kupieckiego ogniska, które od wielu wieków było jednem z najbogatszych i najważniejszych miast całej Norwegii. Okolica jego niezbyt ciekawa, chociaż niebrzydka. Domy bardzo stare obok zupełnie nowych, kościołów kilka i ładnych, a przedewszystkiem ciekawym jest malowniczo i wysoko położony nowy kościół koło Muzeum, z przepięknym obrazem Chrystusa w głównym, jedynym zresztą ołtarzu. Miasto ma cechę wielkiej, ogólnej zamożności, handel morski podnosi widocznie Bergen bardzo szybko, ruch na ulicach wielki, ale ludzie wyglądają dziwnie poważni, mało mówiący, rzadkim u nich uśmiech na twarzy i jakiś dziwny, głęboki purytanizm, czy może tylko brak wesołości, cechować zdaje się każdego tamtejszego czy kupca, czy marynarza, czy nawet prostego tragarza. Bergen ma bardzo ciekawe i nader bogate, a przytem dobrze urządzone muzeum przyrodnicze i etnograficzne, nadto odrębne małe muzeum sztuki, zastosowanej do przemysłu, oraz galeryę obrazów krajowych malarzy, pełną ciekawych płócien dawniejszych i nowszych.

Późnym wieczorem wśród deszczu i zimna opuściliśmy Bergen, to słynnie deszczowe miasto, które ma prawie trzy razy tyle rocznego opadu atmosferycznego (1840 mm.), co Kraków, wpłynęliśmy w nocy do długiego i głębokiego Sognefjordu i zarzuciliśmy kotwicę pod Gundwangen, małą wioszczyną o kilkunastu skromnych, ale bardzo schludnych i tym razem — nie czerwonych, lecz białych domkach. Małemi, jednokonnemi karyolkami, których całe zastępy oczekują zwykle w miejscach turystycznie ważnych przybycia zapowiedzianego parowca, a które niesłychanie wygodnie, szybko i tanio przewożą podróżnego z miejsca na miejsce, podążyło Towarzystwo z „Miry“ do Stahlheimu, wysokiego grzbietu z przepysznym widokiem i olbrzymim, najnowszego stylu i wszechświatowego komfortu hotelem. Deszcz nas prześladował, w najpiękniejszych punktach parasola nie można było odłożyć, mgły co chwila zasłaniały dziko porozrywane szczyty i głębokie przepaściste doliny, ale pomimo to i najbardziej niekorzystnie usposobiony przyznać musiał, iż Stahlheim jest jednym z najwspanialszych punktów nietylko w Norwegii, lecz w całej Europie, i że widok tych niebotycznych, dzikich i groźnych szczytów, ubranych w tkankę najróżnorodniejszych wodospadów, wart był podróży i trudów ciężkiej morskiej przeprawy. Cesarz Wilhelm niemiecki umiał zawsze ocenić piękności Stahlheimu. W głównej hali hotelowej wisi kilka jego fotografij i portretów z własnoręcznym podpisem i datami kilkakrotnych jego odwiedzin, pamiętnych, zdaje się, tak dla hotelu, jak i dla historyi rozwoju turystycznego całej okolicy.

Ze Stahlheimu temi samemi karyolkami, które swą wygodną, zgrabną i trwałą budową zasługiwałyby tak bardzo na wprowadzenie w Tatrach w miejsce ohydnych i przedpotopowych budek góralskich, wróciliśmy do Gundwangen, skąd nas Mira przewiozła najpierw napowrót do Sognefiordu, a później nocą wzdłuż wybrzeża do Hjörondfjordu do Oie i dalej przez Storfjord do Meroku. Gdy wybrzeże atlantyckie tych stron Norwegii jest wszędzie prawie dość jednostajne, nużące swą szarą, gładką, lśniącą się, opłukaną, a przytem nagą skałą, wnętrze fjordów, nawet względnie dość krótkich, jak Hjörund i Storfjord, przedstawia natomiast na każdym kroku wspaniałe alpejskie widoki i oko nieraz jest prawie zmęczone coraz nowymi i coraz ciekawszymi krajobrazami, z których każdy zasługiwałby na zachowanie w pamięci i uchwycenie przynajmniej w fotografii. Merok naturalnie posiada także kilka szumiących głębokich wodospadów, a nad nimi kilka mniejszych i większych hoteli, wi-

154)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

Niesnaski marszałków i generałów ucichły nagle, na biwakach szeptano wieczorami, dociekając napróżno planów kampanii.

Piątego listopada o północy rozległy się pod Vittoryą gromkie okrzyki: „Vive l'empereur!“

Bonaparte nadjechał chmurny. Wysłuchał raportu Jourdana — rzucił okiem na mapy i plany — i tej samej nocy jeszcze nakazał pochód. Armia przyjęła rozkaz z zapałem — obecność wodza zapowiadała znów wielkie dni.

Napoleon nie znał kunktatorstwa. Czwartego dnia pochodu, spotkawszy ośmdziesięciotysięczną armię estremadurską generała Cuesty, który wsparty na silnej pozycyi chciał zagrodzić drogę Bonapartemu, rzucił w nią korpusem Soulta.

Ogień trzydziestu armat przywitał atak dywizyi Moutona. Dywizya drgnęła pod morderczym ogniem.

Soult zaciął zęby. Na ogorzałem jego czole ukazały się ponure fałdy. Spiął konia ostrogami i wśród kul dopadł generała Mouton, usiłującego szyk sprawić w dywizyi.

— Generale! — napomniał surowo marszałek. — Życzeniem cesarza jest, abyś mu drogę utorował do Burgos! Patrz tam, nadjeżdża tutaj ze sztabem!

Mouton zeskoczył z konia, wyrwał karabin najbliżej stojącemu żołnierzowi i huknął zajadle:

— Za mną!... Na bagnety!... Dosyć tej zabawy!

Kolumna piechoty zwarła się i ruszyła naprzód... Artylerya Senarmonta wsparła ją z boku.

Atak był zażarty. Dywizya Moutona wpiła się w szeregi Hiszpanów i chłonęła je. Dwadzieścia minut trwało to zmaganie się... trzy tysiące Hiszpanów legło.

Wojsko Cuesty jęło się chwiać, zataczać, aż w szalonym popłochu rzuciło się do ucieczki. Kawalerya porwała się do pogoni.

Bonaparte był już w Burgos, zanim niedobitki armii hiszpańskiej zdążyły opuścić miasto.

To było dopiero pierwsze słowo Napoleona. W dwa dni później marszałek Victor zniósł pod Espinosa korpusy generałów Blake i la Romana. Soult zajął Santander i uspokoił Asturyę. Generał Fontana, na czele włoskiej dywizyi, opanował wąwozy i wzgórza San Pedro.

Lecz pod Tudelą stały jeszcze korpusy generałów Castaniosa, Palafoxa i Peniasa z siedmdziesięciu pięciu tysiącami żołnierza, wśród których, prócz wyćwiczonych oddziałów Arragony, Walencyi, Kastylii, Andaluzyi i Tarragony były sformowane świeżo bataliony powstańcze, prowadzone przez angielskich oficerów.

Lannes rozpoczął atak na Tudelę. Na czele trzydziestu tysięcy ludzi natarł na główną pozycyę Castaniosa. Mężnie stawili się Hiszpanie. Lannes nie zwykł był ustępować. Sam prowadził pułki, sam je zagrzewał.

Trzy konie pod nim padły, kule ocierały się o złote szlify marszałka, muskały jego biały pióropusz.

Żołnierze błagali uwielbianego wodza, aby się nie narażał. Lannes nie znał innych zwycięstw jak te, do których szedł w jednym z żołnierzami szeregu.

Hiszpanie nie ustępowali. Zawały trupów rosły z nieubłaganą szybkością dokoła ich pozycyi.

Angielskie karabiny coraz większe bruzdy żłobiły w kolumnach francuskich. Ney z Victorem rozpoczęli równocześnie atakować Hiszpanów na skrzydłach. I tu jednakże trafili na rozpaczliwy opór.

Lannes nie mogąc przełamać środka, wysłał ordynansa do Bessières'a. Ordynans przyniósł krótkie wezwanie: „Szarżować natychmiast!“

Bessières wezwał generała Lefebvre-Desnouette, równego słynnemu Lassalowi, przewyższającego w sprawności Montbruna a bodaj z Muratem gotowego iść w zawody.

— Generale! Szarżuj na środek! Wybór pułku pozostawiam twemu uznaniu!

Desnouette pogalopował na tył armii, kędy w odwodzie stały nieruchome pułki kawaleryi.

Minął zielone mundury strzelców konnych, błyszczące kaski dragonów, futrzane bermyce grenadyerów i skierował się w stronę, gdzie na rozległej równinie niebieszczyły się mundury siódmego pułku ułanów Konopki.

Desnouette dopadł jak wicher. Trąbki zagrały atak. Pochyliły się kity ułańskie na czapkach, wysunęły lance, Desnouette stanął około Konopki.

— *Enavant! Ventre à terre!* — zagrzmiał Desnouette.

Pułk zaszamotał się i runął naprzód....

Zadudniała ziemia pod kopytami końskiemi — zafurkotały groźnie chorągiewki u lanc. Korpus Lannesa ledwie zdążył roztworzyć szeregi, gdy potok koni i ludzi przepłynął przezeń.... Raz jeszcze zabrzmiał olbrzymi okrzyk: „Niech żyje cesarz!“ — a potem jakiś łomot straszny i szczęk rozległ się na hiszpańskiej pozycyi. Zdawało się chwilami, że słychać było trzask gruchotanych kości.... bluzganie krwi....

Rozpędowi natarcia nie ostali się Hiszpanie. Łańcuch ich został przerwanym. Nim Castanios zdołał zwrócić fronty — ułani już natarli z tyłu na prawe skrzydło, które z przodu cisnęły pierwszy i trzeci pułk legii nadwiślańskiej. Tu pułkownik Szott, kapitan Stański i porucznicy Wiśniewski i Barański pracowali na krzyże!

Jeszcze kilka bohaterskich wysiłków, nowa zawała trupów około chwiejących się sztandarów — i znów pogrom.

Oblicze Bonapartego wypogodziło się. Armia ruszyła ku Madrytowi. Przed Madrytem jednak, niby sierp potężny, rzucony z zachodu na północno-wschód, zataczały półkole łańcuchy Guadarramy, osłaniając Nową Kastylię murem skał nieprzebytych, wałami górskich grzebieni i hardo wznoszącemi się szczytami Somo-Sierry.

XIV.

Ponura, mglista listopadowa noc spowiła małą wioskę hiszpańską, Bocequillas, jakby usiłując zagasić w niej łuny świateł, któremi zapaliła się ta cicha, górska sadyba. Napróżno. Z okien opuszczonych, a na poły rozwalonych domów buchały jasne strumienie, rozświetlały ciemne kałuże nad wijącą się wśród skał drogą. W dali, po za wioską, tysiące ognisk stroiły zasłony mgieł w żółto-czerwonawe wstęgi, pasy, koliska.

Na skraju sadyby piętrowy domek gorzał silniej. Dookoła niego kupiły się co chwila tłumy pióropuszy.

Stąd co chwila wyrywał się rumak ordynansa i ginął hen wśród ciemni wijącej się drogi lub tonął w morzu obozowych ogni. Domek ten był jakby sercem, z którego rozchodziły się potoki rozkazów, sięgając najdalej położonych pulsów.

Główna kwatera w Bocequillas!

Bonaparte otoczony marszałkami, siedział zadumany przed stołem, na którym leżały rozłożone wielkie mapy, poznaczone ciemnemi liniami.

— Victor! — rozległ się nagle dźwięczny głos Bonapartego. — Cóż sądzisz o naszej pozycyi?

— Sire! — odrzekł marszałek. — Dotarłem prawie do wąwozów... pozycya, według mnie... nie zdobyta!

— Jakto? Dlaczego?

— Jedyne przejście przez Guadarramę... to wąwóz Somo-Sierra... tysiąc złych żołnierzy może w nim stawić opór... całej armii... Góry strome, skaliste... czynią niepodobnym wszelki dostęp!

Bonaparte zmarszczył się.

(Ciąg dalszy nastąpi)

docznie potrzebnych, skoro nieopodal od brzegu obok naszej „Miry“ stoją na kotwicy dwa angielskie wielkie parowce, pełne szkockich i amerykańskich turystów. Deszcz i tutaj nas prześladował i tylko małe gron niczem nieustraszonych podróżników podążyło po za Merok w górę do głośnej z pięknych widoków góry Knuden.

Nazajutrz byliśmy w Naes w Römdalsfjordzie. Okolica szersza, mniej ścieśniona wysokiemi ścianami, mniej wodospadów, lecz za to więcej strumieni, a przedewszystkiem szeroka rzeka Rauma Elw zwraca uwagę, płynąc wśród ogromnych i typowych moren i zwałów dawnych lodowców. I drzew i zieleni dość wiele, hoteli również nie mało, a nawet kilkanaście zagród i domostw pierwotnego typu daje sposobność przekonania się, jak porządnie, jak schludnie, jak ładnie można się urządzić i gospodarować nawet tak daleco na północy wśród klimatu tak bardzo niekorzystnego. W Naes bawiliśmy nie długo i już po południu przybiła „Mira“ do lądu przy północnym brzegu Römsdalfiordu, w Molde, dość dużem miasteczku, głośnem z kilkakrotnych odwiedzin cesarza Wilhelma. Molde żyje zarówno z handlu i rybołóstwa, jak i z letnich gości, szukających tutaj wś ód bogatej zieleni lepszego, aniżeli w pobliskiem Trondhjem powietrza. Dlaczego tak wiele mówi się o pięknem położeniu Molde, prawdę mówiąc, nie wiemy. Pagórkowata, lekko pożłobiona przez dawne lodowce okolica, bez większych gór w bezpośredniem sąsiedztwie, bez szerszych i rwących strumieni, a nawet prawie bez wodospadów, jest o wiele mniej piękna, aniżeli pobrzeże wspaniałego Hardangerfiordu lub Sognefiordu.

Jedynie widok na śnieżne góry południowego pobrzeża Ramsdalu jest istotnie — na fotografii — imponujący, ale o rzadkiem szczęściu może mówić ten podróżny, który w Molde bawiąc tylko parę godzin, przecież z poza mgły zobaczy śniegiem i lodowcami pokryte Alpy Ramsdalu. Myśmy tego nie widzieli, deszcz i tutaj nas nie opuścił i jedynie z fotografij, których w sklepach tamtejszych można mieć setki i setki najróżnorodniejszych, poznaliśmy dobrze widoki i góry. Molde było przedostatnim punktem naszej fjordowej podróży. Nocą wypłynęliśmy znowu na otwarte morze, zatrzymaliśmy się chwilę w porcie Christiansund na wyspie Avero, minęliśmy wielką wyspę Hitteren i rano ósmego dnia morskiej podróży stanęliśmy w Trondhjem, trzeciem z rzędu największem, a również najstarszem mieście Norwegii.

Po ośmiodniowych niewygodach okrętowej, ciasnej jak szafa kajuty, po skrępowaniu nieuniknionem na małym stosunkowo parowcu wśród 72 pasażerów, prawie z rozczuleniem witał niejeden z nas szyny i wagony kolejowe w porcie Trondhjemu, gdzie każdy stawał się znowu panem własnej woli, własnych zamiłowań i własnego poczucia piękności przyrody. Tutaj rozprószyła się też i gromadka pasażerów „Miry“. Niektórzy tylko powracali „Mirą“ do Hamburga, główna część podążyła koleją do Christyanii, a kilku zaledwie puściło się w dalszą morską drogę ku Północnemu przylądkowi i ku północnemu krańcowi Europy.

Trondhjem, albo w niemieckiej ogólnie prawie przyjętej pisowni Dronthejm, jest ładnem, gustownem, czystem, ludnem i widocznie dość bogatem miastem. O okolicy i pobliskich widokach nie ma tutaj co mówić. Potrzeba dopiero opuścić piaszczyste, a nawet miejscami jakby zabagnione pobrzeże morskie i wznieść się wysoko ponad Trondhjemfjord na ląd stały, aby znów sięgnąć trochę dalej okiem i dopatrzeć ciekawszej trochę natury. Miasto samo wygląda jako rozległe, domy przeważnie jednopiętrowe, tu i owdzie nawet ozdobne, pełne są sklepów ładnie urządzonych, ulice szerokie, nie wiele jednak okazują ruchu. Norwegczycy miasta stanowczo nie lubią, a gdy w niem już mieszkać muszą, to widocznie mało wychylają się z własnego mieszkania, kantoru czy sklepu i gdyby nie przejezdni turyści, których w Trondhjem spotyka się na każdym kroku w skupionych według narodowości gromadkach, toby ulice były puste, prócz najbliższego sąsiedztwa portu, gdzie życie handlowe i marynarskie wre w całej pełni.

Najpiękniejszym i najcenniejszym skarbem w Trondhjem jest prastary i przepyszny, chociaż zewnątrz dość niepozorny tum. Pochodzi on, chociaż nie w obecnym kształcie, z pierwszych czasów chrześcijaństwa, a przynajmniej z końca XII wieku i chociaż wiele razy pożarem zniszczony, złupiony i przebudowany, posiada dzisiaj jeszcze liczne i rzadkie piękności architektoniczne. Od paru lat wielkim kosztem rozpoczęto gruntowną, niesłychanie wierną i jak najdrobiazgowszą restauracyę i dzisiaj prezbyteryum i zakrystya już zupełnie wykończone, mogą każdego zachwycać cudowną delikatnością rzeźb niemal koronkowych w obramowaniach drzwi i okien i w głównym ołtarzu, całym z kamienia, tak lekkim i przejrzystym, a przecież bardzo poważnym i wzniosłym. Do podniesienia wrażenia w części odrestaurowanej przyczynia się obok pełnego światła, wpadającego szerokiemi, prawie jeszcze romańskiemi oknami, bardzo jasny, ciepły ton jasno-popielatego, prawie liliowego materyału kamiennego — rodzaju steatytu — którego łomy pierwotne — później zasypane i zapomniane, dopiero niedawno zostały napowrót odnalezione w pobliżu Trondhjem na wyspie Almenningen.

Restauracya cała, na którą corocznie sejm w Chrystyanii przeznacza kwotę 80.000 koron, ma być ukończoną w roku 1925 i wtedy będzie ten tum niewątpliwie najwspanialszem dziełem architektonicznem na obszarze ziem Skandynawii. W Trondhjem po za tumem, zbiorami tamtejszego Towarzystwa naukowego i portem, niewiele jest do oglądania i dopiero trzeba podążyć do twierdzy Munkholmen, leżącej o godzinę drogi od miasta, aby nabrać wyobrażenia o historycznem znaczeniu tej dawnej i pierwotnej rezydencyi królów norwezkich.

Z Trondhjem można w ciągu siedmnastu godzin przeciąć koleją całą środkową Norwegię i dostać się do Kristianii. Droga łatwa, wygodna, wagony kolejowe — chociaż kolej aż do Haefar jest wąskotorową — zgrabne, dobrze urządzone i nader czysto utrzymane, w pierwszej i drugiej klasie można nawet mieć osobne miejsca sypialne, przemieniające się we dnie w miękkie fotoliki, więc podróż nużącą nie jest, a przedewszystkiem umożliwia temu, który na wycieczki w głąb kraju nie ma dość czasu, poznanie w przelocie pejzażu środkowej górskiej Norwegii. Skały i lasy, z rzadka rozrzucone małe wioski i miasteczka, częściej rozsypane pojedyncze osady, tu i ówdzie jakiś niski komin fabryczny lub dość niepozorna wieża kościelna, oto, co się widzi po drodze między Trondhjem a Stören, zanim noc nie skryje widoków, które dopiero znowu o brzasku dziennym pokazują się koło Elverum i Hamar. Lasy i skały, to cecha główna krajobrazu.

Lasy gęste, grube, szpilkowe, dziwnie mało jeszcze przetrzebione, i tutaj dopiero można zrozumieć, że Norwegia bodaj czy nie najwięcej wogóle drzewa budulcowego i okrętowego dostarcza środkowej Europie i że drzewo jest obok ryb morskich i tranu najważniejszym produktem handlu norwezkiego. Skały, jak samo krystaliczne w przeważnej części na wybrzeżu zachodniem, tutaj przecież inaczej wyglądają. Są one o wiele mniej dzikie, mniej ponure, prawie że nie nagie, przypominają czasem okolice nad Prutem między Dorą a Worochtą, albo dolinę Dunajca między Rytrem a Muszyną. Tylko życia ludzkiego mało się widzi. Tu i ówdzie owsem uprawne pola, dobrze utrzymane drogi, czysto prowadzone lasy okazują wyraźnie, że człowiek tutaj działa i pracuje pilnie i rozumnie, ale tego człowieka samego prawie nie widać. Jeden z kapitanów norwezkich na zrobioną pod tym względem — co do małej ilości większych osad i miast — uwagę, odpowiedział mi pytaniem: czy w miastach są gdziekolwiek ludzie szczęśliwi? czy nie lepiej ludziom mieszkać w małych rodzinnych grupach, ukrytych wśród skał i lasów, aniżeli w zgiełku miejskim, pełnym namiętności i zbrodni? — Odpowiedź ta, w stylu Ibsena cechuje niewątpliwie znaczną większość mieszkańców Norwegii, bo ci dziwnie mało czują potrzebę assocyacyi osadniczej i tylko zmuszeni budują miasta i w nich mieszkają. Norwegczyk z usposobienia jest skąpy w rozmowie, wzajemną wymianę zdań uważa za niezbędną, ale niedosięgającą konieczność i chociaż przestrzega starannie form towarzyskich, żałuje każdej chwil i słów, na nie poświęconych. — Dom swój — o ile możności — buduje zdala od innych i wskutek tego miasta norwezkie przedstawiają się bardzo rozległe, mające dość rzeczy i mniej domów i mniej mieszkańców, aniżeli na to wyglądają. Nie można zresztą o tem zapominać, że Norwegia ma cztery razy tyle obszaru (318.000 klm. kw.), co Galicya, ma zaledwie jedną trzecią część (około 2,500,000) ludności całej Galicyi, a zatem gęstość rozsiedlenia jest w Norwegii istotnie wyjątkowo niską.

Charakterystycznym przykładem wielkiego obszaru, a małej stosunkowo ludności jest Kristiania. Rozłożona nader malowniczo w szerokiej zatoce Kristianiafiordu, wydaje się ona wielkiem miastem, a ma zaledwie do 180.000 mieszkańców. Główne ulice ładne, szerokie, pełne nowych i ozdobnych budowli, ale poza kilku głównymi punktami, życia na pozór mniej, aniżeli we Lwowie, lub Poznaniu. Główną arteryą stolicy norwezkiej jest Karl Johans Gado, ciągnąca się od zamku królewskiego do portu. Tutaj jest uniwersytet, duży, poważny, okazały budynek, gmach parlamentu świeżo wzniosły, ale niezbyt harmonijny, jest i teatr dość mały i niepozorny, przed którym wprost dziwnie wyglądają na niskich postumentach olbrzymie spiżowe posągi obu — jeszcze żyjących — największych poetów skandynawskich, Ibsena i Björnsona. Piękne one nie są, kolosalne, ciemne i ostre postacie, olbrzymia głowa Ibsena, stojącego w napoleońskiej pozie, wyraża jednak taką dziwną siłę i potęgę, że się zapomina o braku harmonii w całości i widzi tylko ten sam demoniczny wyraz geniuszu, jaki nieraz odczuwał, czytając i słuchając dzieł genialnego reformatora.

Królewski pałac zewnątrz wygląda bardzo skromnie, na utrzymanie dworskiego ogrodu, otwartego dla publiczności, nie wiele widocznie idzie, bo król i królowa rzadko widocznie tutaj bywają, przenosząc własną Szwecyę nad zbyt nieraz, a nawet i krnąbrną Norwegię. Uniwersytet duży i przestronny, założony w roku 1811, zawiera wiele ciekawych zbiorów, z których przedewszystkiem część archeologiczna jest bardzo ważną i cenną. Perłą w niej jest ogromny, długi na 23 metrów, statek Wikingów, wykopany w r. 1880 w Gokstad pod Sandefiord, na zachodniem wybrzeżu Kristianiafiordu, dziwnie dobrze, dzięki zbitemu iłowi, w którym był pogrążony, zachowany, tak, że jeszcze nawet kawałki wełnianej i jedwabnej materyi dały się pod pokładem odnaleźć. Według opisu dra Ingwalda Undsela pochodzi on z wieku IX, t. j. z młodszej epoki żelaznej i został użytym za grobowiec dla jakiegoś wybitnego wodza Wikingów. Dzisiaj pomieszczony w małym prowizorycznym budynku w ogrodzie uniwersyteckim, nie robi wielkiego wrażenia, ściśnięty ze wszech stron, ale gdy powstanie nowy gmach dla muzeum historycznego, będzie go można dokładnie i w całości podziwiać.

Z komisyi budżetowej.

(*Telegram „Przeglądu“*).

Wiedeń 1 lutego. Referent budżetu szkół wyższych prof. dr. Starzyński omówiwszy pięcioletnią działalność ministeryum oświaty, wskazuje, że to nie było zawisłem od konstytucyjnego uchwalenia budżetu, zdziałano wiele dzięki temu, że portfel ministerstwa oświaty spoczywał w rękach fachowych. Natomiast co się tyczy strony rozwoju szkół wyższych, która zależną jest od konstytucyjnego uchwalenia budżetu, albo stoi z niem w bezpośrednim związku, sprawa wygląda inaczej, i dały się pod tym względem we znaki niepomyślne stosunki polityczne. Referent zaznacza przedewszystkiem konieczność urządzenia całego szeregu nowych budynków dla szkół wyższych, między innymi nowych klinik w Wiedniu, i omawia szczegółowo dotyczące potrzeby wszystkich krajów koronnych. W osobnej rezolucyi wzywa rząd, by przedłożył plan stopniowego wykonania tych budynków i sposób finansowego pokrycia tych wydatków. Plan ten, odpowiadający właściwym potrzebom wszystkich krajów, mógłby być wykonany mniej więcej w terminie 20 letnim, a rząd powinienby go przedłożyć parlamentowi do konstytucyjnego traktowania, jednak jeszcze przed przyszłą dyskusyą budżetową. W dalszym ciągu referent przedkłada szereg rezolucyj i wniosków, dotyczących rozwinięcia klinik i laboratoryów, powiększenia liczby asystentów i demonstratorów, podwyższenia dotacyi na biblioteki uniwersyteckie i seminarya uniwersyteckie, uregulowania stosunków prawnych i służbowych, urzędników szkół wyższych, urządzenia zakładu dla badania środków spożywczych w Insbruku i we Lwowie, rozwinięcia nauki elektrotechnicznej na politechnikach, zorganizowania fakultetów górniczych i hutniczych w wyższych szkołach technicznych tych krajów, w których mają być budowane kanały, lub wykonane większe roboty regulacyjne, dalej pomnożenia katedr naukowych na wydziałach filozoficznych, podwyższenia płac nadzwyczajnych profesorów szkół wyższych i profesorów katolicko-teologicznych uniwersytetów w Salzburgu i Ołomuńcu. W końcu sprawozdawca podnosi szereg postulatów, dotyczących specyalnie uniwersytetów lwowskiego i krakowskiego.

Następnie p. d'Elvert wystąpił przeciw projektowi założenia czeskiego uniwersytetu w Bernie, które — jak twierdzi — jest od wieków miastem niemieckiem. Ludność niemiecka będzie się zawsze sprzeciwiała temu żądaniu Czechów, którego pobudki nie są kulturalne, lecz polityczne. Mówca sądzi, że podobny uniwersytet mógłby być założony tylko na podstawie porozumienia się obu narodowości.

P. Stransky polemizował z d'Elvertem. Wskazał na to, że Berno jest centrem całego umysłowego i kulturalnego życia narodu czeskiego na Morawii. W Bernie istnieje 120 czeskich stowarzyszeń i przebywa 200 profesorów czeskich. Berno nie jest miastem niemieckiem, lecz miastem o ludności, mówiącej dwoma językami. Władze w mieście tem są także dwujęzyczne. Mówca wskazuje na to, że niemieckie politechniki w Pradze, Gracu i Bernie mają razem tylu słuchaczy, ile jedna, jedyna szkoła techniczna czeska w Pradze, która jest zatem trzy razy większa, jak każdy z tych niemieckich zakładów. Liczba słuchaczy szkoły technicznej w Bernie w drugim roku zaraz podskoczyła z 36 na 175 słuchaczy, a w miarę pomnażania czeskich szkół realnych, liczba techników zwiększy się. Mówca następnie wskazuje, jakie niewłaściwe stosunki panują w Austryi pod względem uniwersytetów. Z ośmiu uniwersytetów austryackich pięć przypada na ludność niemiecką, mimo, że ona stanowi tylko 36 proc. ogólnej liczby ludności. Istnieje 105 niemieckich, a 45 czeskich gimnazyów. Czechom należy się znaczniejsza liczba gimnazyów i dwa uniwersytety. Założenie czeskiego uniwersytetu na Morawii leży w interesie czeskiej wszechnicy w Pradze, na której panuje przepełnienie. Berno jest miastem stołecznem i z tego powodu nadaje się do założenia w niem uniwersytetu. W końcu stawia mówca rezolucyę, dotyczącą rozszerzenia politechniki czeskiej w Bernie.

Minister oświaty Hartel oświadczył, że nie ulega wątpliwości, iż liczba uniwersytetów w Austryi nie jest odpowiednią do faktycznych potrzeb. Wzrost ludności i wyższe potrzeby kulturalne wywołały też nowe wymagania. Zarząd oświaty odnosi się do żądań tworzenia nowych wszechnic z całą sympatyą, uwzględnia atoli to, że przed założeniem nowego uniwersytetu trzeba wpierw przygotować odpowiednio wykształcone siły naukowe i że sprawa ta ma także stronę finansową. Minister uznaje uzasadnione życzenie reprezentantów Morawii w sprawie założenia tam nowych szkół wyższych; nie uważa jednak za stosowne, by założono jeden uniwersytet utrakwistyczny, lecz bierze pod rozwagę założenie dwóch osobnych uniwersytetów na Morawii. Konieczne do tego przygotowania wymagają odpowiedniego czasu, potrzebnem jest zapewnienie odpowiednich sił nauczycielskich i postaranie się o odpowiednie środki. Rząd jest przy tem zdania, że założenie uniwersytetów na Morawie z obu stron będzie przyjęte jako owoc pokojowego porozumienia narodowości.

Omawiając szereg życzeń, wyrażonych podczas dyskusyi, zaznaczył mówca, że we Lwowie buduje się już gmach biblioteki uniwersyteckiej, a co się tyczy budowy głównego budynku uniwersyteckiego zarząd oświaty oczekuje wniosków kollegium profesorskiego. Minister omawiał też sprawę rygorozów medycznych. Niektóre z pomiędzy nowych przepisów o rygorozach okazały się w praktyce za ostrymi, dawniejsze przepisy o rygorozach były jednak gorsze dla studentów, bo nie oznaczały terminu rygorozów. Nowsze przepisy były tylko wynikiem humanitarnych i przyjaznych dla studentów względów, bo dążą do tego, ażeby studenci prędzej dochodzili do końca swych studyów. Podczas obrad wyłoniły się pośród profesorów i kolegiów profesorskich wnioski i żądania, idące o wiele dalej, niż zarządzono. Podług nowych przepisów o rygorozach ma rozstrzygać nie ilość materyału, jakiej nauczył się kandydat, ale stopień doświadczenia, zdobytego u łoża chorego i w laboratoryum. Zresztą kwestya złagodzenia tych przepisów, które są najbardziej uciążliwe, będzie przedmiotem konferencyi kolegiów profesorskich, i minister gotów jest zarządzić zrewidowanie tych przepisów; musi atoli wystąpić stanowczo przeciw usiłowaniu osiągnięcia zmian w drodze brutalnych demonstracyj.

Minister odpowiada dalej na żądanie udzielania studentom stypendyów i oświadcza, że sprawę tę gotów jest załatwić przychylnie. Zaznacza dalej, że rokowania w sprawie przybudowania jeszcze jednego gmachu do politechniki lwowskiej są w toku. Żądanie, by najważniejsze katedry na tej politechnice były obsadzone przez kilka sił profesorskich, uważa minister za usprawiedliwione. Wkońcu prosi o przyjęcie pozycyi kredytu dla politechniki czeskiej w Bernie.

Następnie zabrał głos p. Romańczuk. Mówca ubolewa, że owego miliarda, uchwalonego na budowę kanałów i kolei, którym nie osiągnięto zamierzonego celu politycznego, — nie przeznaczono na cele naukowe. Mówca powiada, że pod względem uniwersytetów Polacy mają się najlepiej — Rusini najgorzej. Mówca uznaje konieczność założenia uniwersytetu ruskiego we Lwowie i czeskiego na Morawii. Zdaniem mówcy, wiedeński uniwersytet powinien być postawiony na takiej stopie, by był nietylko pierwszym w Austryi, ale i nie pozostawał w tyle za zagranicą. Oświadczenia ministra oświaty nie mogą mówcy zadowolić. Zasada, by stronnictwa walczące naprzód porozumiały się, a następnie rozstrzygały o kwestyi spornej, — nie jest słuszną, bo stronnictwo silniejsze nigdy nie uwzględni choćby słusznych życzeń słabszego. Mówca ostrzega te stronnictwa, by nie starały się wyzyskać sytuacyi, nie uwzględniając życzeń drugich, oraz aby jeszcze wczas ustąpiły. Po kilku jeszcze mowach dyskusyę przerwano. Dalszy ciąg na dzisiejszem posiedzeniu.

List do Redakcyi.

(*Polemika w sprawie gorzelnianej*).

Otrzymaliśmy następujące pismo:

W odpowiedzi swej z dnia 17-go stycznia, odpierając nasze dotychczasowe wywody, oświadcza szanowny autor kilku artykułów, dotyczących sprawy gorzelnianej, że uważa polemikę za ukończoną. Takie *dictum acerbum* zmusza nas tymczasowo zaprzestać wyczerpującej polemiki w sprawie poruszonej kwestyi położenia naszego przemysłu gorzelniczego w kraju. Musimy jednakże przy końcu zmodyfikować niektóre daty szanownego autora artykułu z dnia 17. stycznia, ogłoszonego w *Przeglądzie*.

Oto, chcąc okazać wbrew naszym wywodom i cyfrom, że kartel spirytusowy w obecnej formie w Niemczech prosperuje, podał autor obecne ceny kartelu za kontyngent w Niemczech w kwocie około 38 marek za hektolitr 100%. Tymczasem faktyczne ceny kartelu za kontyngent wynosiły w Niemczech

we wrześniu 1901 39 marek
od 1/10 do 15/10 „ 35 „
od 16/10 do 18/11 „ 33 „
od 19/11 1901 do dziś 30 marek za hektolitr 100%.

Okazuje się tedy, jak w naszej polemice wykazaliśmy, że pod wpływem spadających cen nadkontyngentu obniżyły się także ceny kontyngentu w Berlinie w przeciągu trzech miesięcy o 9 marek na hektolitrze, mimo kartelu. *Sapienti sat.*

Brody 30 stycznia 1902.

Józef Kapelusz (za firmę „Bracia Kapelusz“).

Co i o czem piszą.

Czas zamieścił doskonałą, o głębokiej myśli co do wzajemnego stosunku Polski, Niemiec i Rosyi, bardzo na czasie będącą bajkę p. t. „Prawo silniejszego“. Oto ona:

O szarej godzinie,
Na koniczynie,
Kot, węsząc za gratką,
Dopadł kuropatw stadko,
Co się pod miedzą skryło
Przed okiem kota hultaja,
I pisklęta, co ledwie wylęgły się z jaja,
Chrustał aż miło.

Przy tej robocie
Zastał go lis, co o tej porze
Też lubił przechadzać się po dworze.
Widząc okrucieństwo kocie,
Wpadł w szlachetne oburzenie:
„Masz ty sumienie
„Pastwić się nad drobną dziatwą,
„Nad bezbronną kuropatwą?...
„Fe! — to doprawdy świństwo!
„Gorzej! — to jest barbarzyństwo!
„Jakie masz prawo do tego?“
Kot na to: „Jakie? — Prawo silniejszego,
„Wszak i ty także...“ — „To znów inna sprawa—
Przerwie mu lis — „ty, widzę, wdzierasz się w me prawa!

„To jest zuchwalstwem! bezwstydem!
„Każdy bezstronny to powie —
„Znasz ty łacińskie przysłowie:
„*Si duo faciunt idem, non est idem?*“
„Wybacz“ — kot na to — „w tak późnej godzinie
„Nie mam zwyczaju mówić po łacinie.
„Lecz przyjm odemnie przestrogę:
„Te zuchwałe ptaszyska tak samo niegodnie
„Tobie, jak mnie, włażą w drogę
„Nie można chodzić nawet po polu swobodnie!
„Czas już z tego plugastwa raz oczyścić ziemię —
„Więc wspólnemi siłami wytępmy to plemię!“
„Zgoda!“ — zawoła lis — „dowcipny z waści facet!

„Podobasz mi się — i masz moje *placet*.
„Ja, kolego, oddawna — niech mi kitę utną —
„Czuję ku tobie sympatyę okrutną.
„Jeśli łżę, każ mi wstąpić dziś do kamedułów“.
„Kocham cię, bo masz rozum, a nie masz skrupułów.

„Przez ściślejszą zażyłość sprawa nasza zyska.
„No, pójdź! — daj pyska!...“
Kot się przybliżył i pyszczek nadstawił,
A lis cap go za kark... Kot w pisk: „Jakiem prawem?“

Lis na to: „Twem własnem prawem, kolego,
„Prawem silniejszego!“
I kota zdławił.

M. Dz.

KRONIKA.

Lwów 1 lutego.

Wiadomości urzędowe. Starszy radzca budownictwa Jan Matula przy przejściu na emeryturę otrzymał tytuł radzcy dworu. — Nauczyciel Adolf Zontek w Lipniku zamianowany został prowizorycznym inspektorem dla okręgu szkolnego Nisko. — Termin wykupna srebrnych monet 20-,10- i 5-centowych za połowę wartości przedłużyło ministerstwo skarbu na czas nieograniczony.

Ślub p. Ludwika Szczepańskiego, redaktora *Illustracyi polskiej*, syna znakomitego publicysty Alfreda i Heleny z Zieleniewskich, — z panną Lucyną Libiszowską, córką śp. Józefa i Stefanii ze Stokowskich Libiszowskich, a siostrą pani Janiny z Libiszowskich Leinveberowej, odbędzie się w Łodzi dnia 8 bm.

Członek Wydziału krajowego p. Michał Glidżuk objął dnia 28 stycznia urzędowanie. Dr. Damian Sawczak, w miejsce którego p. Glidżuk wybrany został do Wydziału krajowego, objął urzędowanie jako radzca sądu krajowego we Lwowie.

Książę-kardynał X. Puzyna przybył wczoraj do Lwowa. Na dworcu powitał go X. arcybiskup Bilczewski wraz z wszystkimi kanonikami kapituły. X. kardynał zamieszkał w pałacu arcybiskupim.

Charlotta Wyns, która wczoraj wystąpiła z wielkiem powodzeniem w „Cyganeryi“, powtórzy jeszcze w niedzielę wieczór swój występ w tem dziele Pucciniego. Zapowiedziane na jutro wieczór przedstawienie „Halki“ odwołano.

Reżyserem operetki w teatrze miejskim został p. Ferdynand Feldmann; dotychczasowy jej reżyser p. Kiczman zrezygnował. Teatr lwowski przygotowuje do wystawienia operetkę pt. „Piękna z Nowego Jorku“.

Kronika karnawałowa. W Złoczowie odbył się bal na dochód bursy im. Tadeusza Kościuszki. Ochocze tany w 58 par trwały do rana. Czysty dochód wynosi 280 K.

Młodociany samobójca. W uczniu, który się powiesił koło kapliczki na Wulce, rozpoznano Gwidona Semenowicza, ucznia III klasy gimnazyum Franciszka Józefa. Stwierdzono, że w istocie otrzymał on we czwartek z okazyi ukończonego I. półrocza szkolnego złe świadectwo; Semenowicz podarł je jeszcze w gmachu szkolnym; potem błąkał się do wieczora w okolicy rogatki Wuleckiej, a w nocy się powiesił.

Miasto Kęty nadało X. arcybiskupowi Bilczewskiemu honorowe obywatelstwo. X. arcybiskup był niegdyś uczniem szkoły ludowej w Kętach, a w pierwszych latach swego kapłaństwa, wikarym w Kętach. We środę przybyła deputacya z Kęt, która przywiozła Najprzew. Arcypasterzowi dyplom honorowego obywatelstwa. X. arcybiskup serdecznie przybyłych ugościł, a przy rozstaniu udzielił im dla Kęt arcybiskupiego błogosławieństwa.

Studenci uniwersytetu lwowskiego odbyli wczoraj poza murami uniwersytetu, w sali Tow. pedagogicznego wiec, na którym omawiali ostatnie demonstracye młodzieży, aresztowania techników i śledztwo przeciw winowajcom tych demonstracyj i ekscesów, dalej fakt znieważenia dra Ostaszewskiego-Barańskiego, jakoteż fakt przyjęcia przez prezesa Jaworskiego od Tow. dobroczynności w Moskwie stu rubli dla dzieci wrzesińskich. Rezolucye, powzięte przez studentów na powyższe tematy, są tego rodzaju, że prokuratorya państwa skonfiskowała te dzienniki poranne, które owe rezolucye ogłosiły.

O współczesnym dramacie polskim. Na ostatek swego przeglądu dzisiejszej produkcyi dramatycznej w Polsce zachował p. Chmielowski dwóch poetów, którzy kierunkiem swej twórczości daleko odbiegli od wszystkich innych: Przybyszewskiego i Wyspiańskiego. Wczoraj mówił o Przybyszewskim. Cały charakter twórczości tego autora, a zwłaszcza jego działalność dramatyczną wywodzi prelegent od poety szwedzkiego Strindberga, autora, który nietylko w potężnych dramatach przedstawił swoje myśli o ludziach współczesnych, a zwłaszcza o stosunku mężczyzny do kobiety, ale nadto w przedmowie do dramatu „Panna Julia“ rozwinął swoje zasady dramatopisarskie. Strindberg podrażniony wrzawą emancypantek skandynawskich wystąpił ogromnie namiętnie z teoryą o niższości intelektualnej i moralnej kobiet, mimo tej niższości jednak uważa Strindberg dążenia kobiet do zagarnięcia władzy za bardzo niebezpieczne, albowiem w walce tej mężczyznom przeszkadza ich wrodzona cześć dla kobiet i wrażliwość sumienia, kobiety zaś posługują się, jak zawsze czynią słabsi, podstępem i bronią zatrutą, a żadnych skrupułów nie znają. Co się tyczy teoryi dramatycznych, to głównie podnieść należy jego sposób pojmowania charakterów. Figury, występujące w jego dramatach, to według określenia samego autora, istoty przejściowe, konglomeraty pozostałości z czasów dawnych i strzępów z tego co się dopiero tworzy, okruchów myśli, połapanych z lektury i z dyskusyi. W dyalogu nie spotykamy u Strindberga wyrazu uczuć, lecz wyłącznie panuje refleksya.

Wszystkie te poglądy i teorye są zastosowane zaraz w pierwszym dramacie Przybyszewskiego „Dla szczęścia“, a wprowadza on je w życie z wielkim talentem artystycznym, z silną koncentracyą efektu. Jako cechę odrębną dramatu Przybyszewskiego podniósł prelegent dziwny jakiś fatalizm, wyrażający się w poglądzie, że na ludzi spada nieunikniona kara, chociaż autor winy tych ludzi i wogóle ludzkiej winy nie uznaje.

W dwóch następnych dramatach „Złote runo“ i „Goście“ widoczną jest pewna ewolucya autora w kierunku budzenia się sumienia — pod wpływem, jak się zdaje, przejść osobistych i, według zdania prelegenta, także pism Tołstoja. Siła budzącego się sumienia przedstawiona jest w tych dramatach w sposób wstrząsający. Wogóle wprawdzie wrażenie sztuk Przybyszewskiego jest nader silne i szarpiące nerwy, ale przytem przykre, a wrażenie to potęguje się często nawet do wstrętu.

Dziś mówić będzie p. Chmielowski o Wyspiańskim.

Tow. ogrodnicze w Tarnowie na odbytem dnia 26 stycznia walnem zgromadzeniu uchwaliło rozdawać włościanom, należącym do Towarzystwa, szlachetne odmiany drzew owocowych, założyć sad gminny, ogród przy szkole ludowej i nadal sadzić drzewka owocowe przy drogach powiatowych. Ukonstytuowała się też spółka sadowniczo-ogrodnicza, założona za staraniem Towarzystwa w Tarnowie. Udział w Spółce kosztuje 25 koron.

Powszechne wykłady uniwersyteckie. W niedzielę 2 lutego w sali ratuszowej o godz. 5 dr. K. Wojciechowski i J. Tenner: „Współczesna liryka polska“. Wykłady ilustrowane wygłoszeniem utworów (Antoni Langie). — W poniedziałek 3 bm. w Zakładzie chemicznym (ul. Długosza 6) o g. 7 prof. uniw. dr. A. Beck: „Jak widzimy i słyszymy? (O zmyśle słuchu)“. — W szkole realnej (ul. Kamienna 2) o godz. 7·30 dr. Z. Próchnicki: „Powstanie i rozwój parlamentów (rok 1848)“.

† Róża z Wodzickich hr. Potocka z Rymanowa, żona posła do Rady państwa hr. Jana Potockiego, zmarła dziś w naszem mieście, przeżywszy lat 33; pogrzeb odbędzie się w poniedziałek przed południem na cmentarz łyczakowski, po egzekwiach, które odprawione zostaną w kościele św. Maryi Magdaleny.

W sprawie drożyzny chleba była wczoraj u prezydenta miasta i u szefa biura targowego deputacya socyalistów i prosiła o wdrożenie akcyi ku uregulowaniu cen chleba; podrożenie to bowiem odbija się bardzo dotkliwie na budżecie robotników zwłaszcza obecnie, w porze zimowej, kiedy wielu robotników obarczonych rodziną, nie ma zarobku. Deputacya domagała się także założenia miejskiej piekarni.

Niedzielny koncert słynnego skrzypka Ondricka zapowiada się dobrze. Ondricek jest jak wiadomo, jednym z najwybitniejszych wirtuozów skrzypcowych, a jego gra obok olbrzymiej techniki odznacza się nadzwyczaj szlachetnym stylem, ciepłem i poezyą. Porównywają go w tej mierze z Joachimem.

Nagrodę za najskromniejszy strój wyznaczyło Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Poznaniu dla pań, które przybędą na zabawę karnawałową, urządzoną przez to stowarzyszenie. „Sokół“ bowiem, licząc się z obecnem krytycznem położeniem finansowem w Księstwie, stara się ograniczyć wydatki i kłopoty, jakie mają panie nasze przy sprawianiu nowych tualet.

„Polski dziób“ i „osieł na wstążce“. Pod tym tytułem pisze *Schles. Volks Ztg*:

„Przy ostatnich rozprawach polskich w sejmie pruskim powiedział hr. Bülow, że Polacy mogą prywatnie mówić po polsku, „jak im dziób urósł“. — Oto dwa przykłady, że teorya z praktyką nie idą w parze. Z pewnej wsi na Górnym Szląsku uczęszczały dzieci polskie do wsi sąsiedniej na naukę przygotowawczą do spowiedzi. Jeden z nauczycieli podsłuchiwał dzieci, jakim językiem mówiły. Naturalnie, że posługiwały się „polskim dziobem“, który im „urósł“, za co każde dziecko dostało dziewięć batów. — Czyż to jest zgodne z oświadczeniem kanclerza? — Jakich środków używają niektóre „usłużne“ natury, niech świadczy fakt poniższy. We wsi D. — wówczas nie istniał jeszcze „Ostmarkenverein“ — zrobił nauczyciel dla dzieci polskich wyższych klas z tektury wielkiego osła. Dziecko, które wbrew zakazowi nauczyciela, wychodząc ze szkoły, najpierw przemówiło po polsku, musiało nosić owego osła, uwiązanego u szyi na wstążce, dopóty, dopóki nie uwolniło go z tego inne dziecko, mówiące po polsku. Wówczas dopiero

oddawać swego osła koledze lub koleżance, schwytanym miłośnikom „polskiego dzioba". I tak trwało do końca tygodnia. Kto miał „polskiego osła" w sobotę, otrzymywał baty. Naturalnie, że ten „arcypedagogiczny" środek nie wpoił dzieciom polskim miłości do języka niemieckiego, ale za to były na porządku dziennym kłótnie i kłamstwa. W końcu ów dobry nauczyciel przyznać musiał w duszy, że popełnił „największą głupotę" i zaprzestał zawieszać dzieciom „osła". — Tyle *Schles. Volks-Ztg.*

Defraudacya. *Głos Narodu* donosi, że kancelista sądu w Nowym Sączu, Józef Śleziński zdefraudował 8000 K. i umknął bez śladu.

Samobójstwo przez spalenie się. Dziś rano pozbawił się życia w sposób niezwykły a okrutny niejaki Mojżesz Steinfeld, 56letni wdowiec, ojciec pięciorga dzieci, który był roznosicielem zaproszeń na bale i wieczorki; po żydowsku takiego roznosiciela nazywa się „sorwe". Otóż Steinfeld, który często się upijał i wyprawiał w domu awantury, zamknął się wczoraj po południu w swem pomieszkaniu przy ulicy Szpitalnej l. 19, a swe dwie córki, które u niego mieszkały i wczoraj dobijały się do drzwi, odpędził, tak, że musiały przenocować u krewnych. Dziś rano zauważono, że z pomieszkania Steinfelda rozchodzi się woń palącej się nafty. Wyłamano więc drzwi i znaleziono Steinfelda nieżywym; wszystko wskazuje na to, że oblał on swe suknie, głównie na piersiach, naftą i podpalił. Piersi były strasznie poparzone. Lekarz stwierdził śmierć wskutek poparzenia.

Sposobność kupna majątku ziemskiego w polskiej okolicy Prus Zachodnich, sposobność nader korzystna nadarza się właśnie — wedle *Kuryera Poznańskiego*. Obszar wynosi 600 morgów ziemi w połowie buraczanej, w połowie dobra pszenna, po większej części drenowana, znajdująca się w wysokiej kulturze. Inwentarz jest bardzo obfity i to w jak najlepszym stanie. Majątek ów leży tuż przy miasteczku a kolei. Na majątku osiadła jest od wielu lat polska rodzina obywatelska, która z małych początków doszła do bardzo znacznego mienia. To też obecny właściciel zamierza nabyć znacznie większy majątek z rąk niemieckich, wprzód atoli musi sprzedać swą posiadłość. Wzorowo ten zagospodarowany majątek powinien znaleźć niebawem nabywcę.

Może pomiędzy naszymi czytelnikami znajdzie się taki, któryby zamierzał nabyć podobny majątek, albo też wiedziałby o chętnym nabywcy. O bliższe wyjaśnienie zgłaszać się należy pod literą R. G. do redakcyi *Gazety Grudziądzkiej* w Grudziądzu (Graudenz), Getreidemarkt 2.

Sławuta. Słynna stadnina ks. Sanguszki składa się z ośmiu ogierów, reproduktorów czystej krwi arabskiej, sprowadzonych z Arabii, z dziewięćdziesięciu matek i z dwustu sztuk młodzieży. Stadnina Sanguszkowska istnieje z górą 300 lat i jest najstarszą w Polsce. Rok rocznie ze stada sprzedaje się około 100 sztuk młodzieży w cenie od 300 do 2000 rb. za sztukę. Teraźniejszy właściciel Sławuty, ks. Roman Sanguszko należy do najbogatszych obywateli ziemskich na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Jego włości mają 95.560 dziesięcin ziemi, tj. przeszło 100.000 morgów obszaru, z czego 39.000 dziesięcin przypada na doskonale urządzone i eksploatowane lasy. Dobra sławuckie podzielone są na trzy ekonomie, stanowiące jednostki administracyjno-gospodarcze: Sławuta, Zasław i Białogródek. Należy do nich 41 wielkich wsi i miasteczek, z których każde znowu ma kilka folwarków. Główną stolicą tych włości jest miasto Sławuta, założone w początkach siedmnastego stulecia przez książąt Zasławskich, od których niebawem przeszło do książąt Lubomirskich, a od roku 1703 znajduje się w rodzinie książąt Sanguszków. Sławuta liczy dziś 6000 mieszkańców i należy do najwięcej przemysłowych i fabrycznych miast Wołynia. Posiada w swych murach słynne fabryki sukna, założone jeszcze w 1818 roku, a produkujące towaru za 600.000 rubli, wielką mydlarnię, browar, farbiarnię, fabrykę narzędzi rolniczych (produkcya 500.000 rb.), papiernię, wielkie tartaki parowe i t. d. Wszystkie te fabryki są własnością księcia Romana. Najciekawszym wszakże pomnikiem Sławuty jest pałac, gmach z XVII stulecia, stojący w obszernym parku. W pałacu znajduje się biblioteka (z górą 25 000 tomów), zawierająca mnóstwo ciekawych rękopisów i nadzwyczaj cenne archiwum, w którem zgromadzone są dokumenty i papiery, dotyczące przeszłości Wołynia, Podola i po części Litwy. Piękna galerya obrazów, muzeum przedmiotów historycznych i pamiątkowych — są prawdziwą ozdobą tej iście książęcej rezydencyi. Szkoda jednak wielka, że te skarby sztuki i historyi są zamknięte. Dostęp do nich dozwolony jest każdym razem tylko za pozwoleniem księcia Romana, rzadko komu wszakże udaje się je uzyskać, książę bowiem jest niezmiernie zazdrosny o skarby ukryte w jego pałacu.

Książę Roman nie sprzedał bynajmniej, jak to niedawno utrzymywały dzienniki rosyjskie, swej stadniny, jakiej spółce amerykańskiej, ale przeciwnie, wyjechał właśnie na Wschód dla poczynienia wielkich zakupów, które mają jeszcze podnieść znaczenie słynnego w całej Polsce sławuckiego stada.

Polski Gieshübler. P. Aleksander Sobański, właściciel dóbr Żytniki i Świdowa na Podolu rosyjskiem, przystąpił do eksploatowania czterech źródeł wody zupełnie takiej, jak Gieshübler. Źródła te, obfitujące w szczawę naturalną, były już znane oddawna, ale jakoś nikomu nie przyszło do głowy, aby zaprowadzić tam gospodarkę racyonalną i wodę krajową rzucić na rynki handlowe. Obecnie dopiero rozpoczęła się eksploatacya. Po dokonaniu analiz przez pracownię analityczno-chemiczną przy politechnice ryskiej, oraz przez berlińskie stowarzyszenie badań naukowych w sferze piwowarstwa, p. Aleksander Sobański zamierza rozwinąć na wielką skalę eksploatacyę źródeł i w tym celu zwrócił się do dra Henryka Dobrzyckiego, przewodniczącego w sekcyi zdrojowisk przy warszawskiem Towarzystwie hygienicznem, i do dra Leona Nenckiego, zarządzającego pracownią chemiczno-lekarską szpitali warszawskich. Uczeni ci, po ściślem zbadaniu wody, udzielili właścicielowi Żytnik wskazówek odpowiednich i obiecali osobiście asystować przy zaprowadzaniu instalacyi właściwych w nowem zdrojowisku. A zatem może już za kilka miesięcy zamiast Gieshüblera pić będziemy, obok Żaglobianki z Sienkiewiczowskiego Oblęgorka, Żytnickę i Świdówkę!

Manifestacya dziennikarzy przeciw „Kuryerowi lwowskiemu". Sprawozdawcy siedmiu pism lwowskich wystąpili solidarnie przeciw p. Zygmuntowi Frylingowi sprawozdawcy *Kuryera lwowskiego* i nadesłali nam oświadczenie, które jednak z racyi, że otrzymaliśmy je przed samem zamknięciem numeru, odkładamy do poniedziałku.

Zmarli. We Lwowie Adolf Wurm, kapitan 45 pp., lat 56; Antoni Dembowicz, nowo... lat 45. — W Zakopanem Marya z Gablonkowskich Turkowa, żona nauczyciela, lat 33.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano — 3, w poł. — 1. R. Bar. 779. Nieruchomy. Śnieg.

Majątek bez sąsiadów.

— Jakichże pani ma sąsiadów na wsi?

Żona zbogaconego bankiera:

— O, nasze dobra są tak wielkie, że wogóle nie mamy żadnych sąsiadów.

Z matematyki.

Że dwa a dwa jest cztery,
Zaprzeczać próżna chęć,
Jednakże są szczęśliwcy,
Dla których bywa... pięć.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w sobotę po raz IIgi „Tamten" sztuka w 5 akt. J. Maskoffa. — W niedzielę o godz. 3ciej po poł. „Nadzieja" sztuka w 4 akt. Hermana Hayermannsa. Wieczorem o godz. wpół do 8mej „Cyganerya" opera w 4 aktach Pucciniego. Ostatni występ Charlotty Wyns. — W poniedziałek po raz IIIci „Zagadka" sztuka w 2 aktach P. Hervieux i po raz IIIci „Mężczyzna" sztuka w 3 aktach Zapolskiej. — We wtorek „Trubadur" opera w 5 aktach Verdiego. — We środę po raz Iszy „Sprawa" sztuka w 5 aktach Suchowo-Kobylina, przekład Popławskiego. — We czwartek po raz Iszy „Latający Holender" romantyczna opera w 3 aktach. — W piątek po raz IIgi „Sprawa". — W sobotę po raz IIgi „Latający Holender".

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** W „Cyganeryi" Pucciniego, którą grano wczoraj, p. Wyns wprawiła w zachwyt słuchaczy przecudnem frazowaniem, cieniowaniem i modulowaniem głosu. Strona wokalna jej kreacyi była tak piękna i idealnie skończona, że kazała zapomnieć o owych niekorzystnych warunkach zewnętrznych, o którycheśmy mówili po przedstawieniu „Carmeny". — W ogóle wczorajsze przedstawienie było pod każdym względem doskonałe. „Cyganerya" jest, śmiało rzec można, jedyną operą, którą dotychczas teatr nasz wystawił bez zarzutu (bo obsadzie ról w „Manru" mamy wiele do zarzucenia). Wykonawcy wszystkich partyi śpiewali wczoraj bardzo dobrze, w szczególności z przyjemnością konstatujemy, że p. Drzewiecki coraz więcej frazuje i wyraźnie wymawia, a w miarę tego coraz mniej krzyczy. Gdy zaś także chóry i cała reżyserya i wystawa są w tej operze znakomite, gdy przytem orkiestra gra nadzwyczaj pięknie, a sama opera jest prawdziwym klejnotem muzycznym, łatwo zrozumieć, że publiczność miała wczoraj wielką satysfakcyę artystyczną.

Teatr był do ostatniego miejsca wysprzedany, a publiczność z zapałem oklaskiwała wszystkich wykonawców.

Z izby sądowej.

Wiedeń, 31 stycznia.

(*Odszkodowanie za udaremnienie egzekucyi.*)

Kupiec bocheński Aron Nebenzahl uzyskał pozwolenie na przymusową grabież ruchomości dłużników swoich, Ftreehów w Wyżnicy. Atoli gdy zjawił się u nich egzekutor, Ftreehowie pomieszkanie zamknęli i egzekucyę udaremnili. Nebenzahl żądał następnie asystencyi żandarma dla egzekutora, lecz żądaniu temu odmówiono. Natomiast wpłynęło do sądu podanie o wyłączenie od egzekucyi tych sprzętów, które Ftreehowie przed egzekutorem zamknęli w swem mieszkaniu. Sąd pierwszej instancyi podanie to uwzględnił, a wówczas rzeczy te z mieszkania Ftreehów zniknęły. Owóż Nebenzahl wniósł do sądu apelacyjnego skargę syndykacką z zażądaniem odszkodowania za udaremnienie egzekucyi wskutek stronniczego stanowiska, jakie zajął w tej sprawie trybunał pierwszej instancyi. Sąd apelacyjny uznał, że sędzia, który pozwolił na wyłączenie owych rzeczy od egzekucyi, zawinił, przeto owego sędziego zasuspendowano; atoli pretensyę Nebenzahla o odszkodowanie apelacya oddaliła. Nebenzahl wniósł rekurs do trybunału państwowego, który wczoraj tę sprawę rozstrzygnął po myśli rekurującego, orzekł bowiem, że rząd obowiązany jest zapłacić całą sumę, dla której ściągnięcia miała się odbyć egzekucya, a nadto procenta i wszystkie koszta.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 30 stycznia.

(Z.) Zapotrzebowanie gotówki na ultimo jest tym razem niesłychanie małe. Dziś np. zgłoszono w banku austro-węgierskim nowych weksli do eskontu wszystkiego za 1,200.000 koron, ponieważ zaś z zapadłych dzisiaj weksli wpłynęło 1,400.000, przeto ostatecznie portfel wekslowy banku pomimo ultima zmniejszył się o 200.000. Zdaje się, że w dniu 4 lutego urzędowa stopa procentowa w Austryi zostanie na pewno obniżona na $3^1/_2$%. Owóż wszystkich zajmuje żywo pytanie, jak zachowają się przy tem zniżeniu tutejsze instytucye, przyjmujące wkładki oszczędności. Co się tyczy banków, wydających książeczki wkładkowe, to one już porozumiały się i postanowiły zniżyć procent na $3^1/_2$%, dwie największe kasy oszczędności, t. j. pierwsza austryacka i nowa wiedeńska, które płacą obecnie od wkładek małych do 10.000 koron $3^3/_4$%, mają zamiar zniżyć ten procent na $3^6/_{10}$%, a od większych wkładek na $3^1/_4$%, natomiast mniejsze kasy oszczędności, istniejące na przedmieściach Wiednia (t. z. komunalne) pozostaną podobno nadal przy stopie 4%, z obawy, ażeby jej obniżenie nie skłoniło ich klientów do wycofywania swych pieniędzy.

Tendencya giełdy naszej była i dzisiaj bardzo silna i znów akcye kredytowe dominowały nad innymi walorami. Wczorajsza zwyżka tych akcyi zmusiła kontrminę, spekulującą na ich zniżkę, do odkupywania sprzedanych in bianco papierów, przez co kurs kredytów w dalszym ciągu podniósł się o 5 koron. Pogłosek co do wrzekomo projektowanych nowych operacyj finansowych, w których Zakład kredytowy ma wziąć wybitny udział, nie brakło i dzisiaj. Oto mówiono np., że rząd peszteński zamierza jak najrychlej przeprowadzić konwersyę wszystkich węgierskich długów państwowych oprocentowanych na $4^1/_2$%. Pożyczek węgierskich tej kategoryi jest cztery, a mianowicie dwie pożyczki kolejowe z r. 1889, jedna w złocie, druga w srebrze, pożyczka inwestycyjna z r. 1888 w złocie i pożyczka z r. 1890, mająca pokrycie w dochodach z opłat szynkarskich. Pierwotny kapitał wszystkich tych pożyczek wynosił 1.099 milionów koron, ale został częściowo już zamortyzowany. Zasięgano w tej sprawie informacyi w Peszcie i otrzymano odpowiedź, że wprawdzie rząd tamtejszy nie wdrożył jeszcze żadnych rokowań w tej kwestyi, ale nie można już dziś powiedzieć, że nie ma zamiaru przystąpienia do tej operacyi. Zależeć to będzie od dalszego ułożenia się stosunków na targu pieniężnym. Takie wyjaśnienie utwierdziło tylko giełdę w przekonaniu, że ten wielki interes niebawem przyjdzie do skutku.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 668 00, węgierskie 683 00 Anglobanki 264·75, Uniony 558 25, Bankvereiny 457 00, Länderbanki 422 75, Ludwiki 422·25, Czerniowieckie 565 00, Elbethale 454 00, Renta papierowa 100 90, srebrna 100·80, austryacka złota 120·50 austr. renta wal. kor. 98 00, węgierska złota 119 70, węgierska renta wal. kor. 96·75, dukat 11·31, 20-franków. 19·03—, 20-markówka 23·44—, ruble $2{\cdot}53^1/_4$.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

Budapeszt 1 lutego. W sejmie węgierskim p. hr. Robert Zseleszky wskazał na korzystne rezultaty zniesienia obrotu mlewa i zapowiada dalszą walkę przeciw handlowi terminowemu zbożem, który niema nic wspólnego z handlem rzeczywistym. Mówca żąda, aby w ramach autonomicznej taryfy celnej oznaczyć taryfę maksymalną i minimalną na produkty rolnicze. Jeżeli Węgry swoje produkty rolne zabezpieczą przed konkurencyą serbską, rumuńską, rosyjską i zamorską przez cła ochronne, to będzie można z większym spokojem oczekiwać skutków przedłożonej niemieckiej taryfy celnej.

Tryest 1 lutego. W radzie miejskiej wniósł p. Benussi, aby rada zaprotestowała przeciw umieszczeniu dwujęzycznych włosko-słowiańskich tablic na stacyach Maggia i Capo d'Istria, na linii kolejowej Tryest-Parenzo, i wyraziła nadzieję, że włoskie gminy w Austryi wystąpią przeciw takiemu wypieraniu charakteru włoskiego. Referent rządu oświadczył, że rada miejska nie jest kompetentną do mieszania się w sprawy innych prowincyj. Oświadczył on również, że są przecież czysto słowiańskie miejscowości, w których umieszczone są dwujęzyczne tablice, gdyż to nie ubliża bynajmniej ani jednej, ani drugiej narodowości. Ostatecznie wzmiankowaną rezolucyę przyjęto wszystkimi głosami przeciw 3 głosom radnych słoweńskich.

Londyn 1 lutego. W izbie gmin minister wojny Brodrick, uzasadniając żądanie dodatkowego kredytu, powiedział, że system budowania blokhauzów wydał jak najświetniejsze rezultaty, zapewnia on bowiem schronienie dla wojska po uciążliwych marszach, a zarazem teren wojny ogranicza. Powstańcy w kraju Przylądkowym są zupełnie zgnieceni. Po stronie Boerów stoją w polu 3 znaczniejsze armie: Deweta, którego wśród pewnych okoliczności możnaby się obawiać, dalej Bothy, którego ruchy przez ostatnie operacye znacznie są utrudnione, wreszcie Delareya. Każda z tych armij liczy około 2000 żołnierzy. Nadto kilka mniejszych band obozuje i kryje się w górach. Plan Kitchenera polega na tem, by te armie razem spędzić i zmusić do walki. Minister wyraził uznanie dla armii angielskiej i zakończył oświadczeniem, że rząd nie odmówi Kitchenerowi wszelkich możliwych posiłków celem rychłego zakończenia wojny.

Londyn 1 lutego. Wczoraj w południe Rada gabinetowa odbyła posiedzenie, na którem podobno zatwierdziła odpowiedź na notę rządu holenderskiego.

Daily Telegraph donosi, iż odpowiedź ta jest uprzejmem zapewnieniem, iż brak wszelkiego pełnomocnictwa po stronie rządu holenderskiego do przemawiania czy to w imieniu Boerów walczących, czy ich delegatów w Europie i brak wszelkich konkretnych propozycyi, czyni tę notę rządu holenderskiego praktycznie bezużyteczną.

Berlin 1 lutego. W parlamencie niemieckim oświadczył się socyalista Stolle za otworzeniem granicy dla importu do Saksonii nierogacizny, przywożonej z Austryi. Reprezentant rządu saskiego oświadczył, że w Austryi panuje zaraza pyskowa i racicowa i zaraza na nierogaciznę, wobec czego wskutek niebezpieczeństwa zawleczenia tych chorób, nie może absolutnie zgodzić się na otwarcie granicy.

Paryż 1 lutego. W Cherbourgu, Marsylii i w innych mniejszych portach, szalała gwałtowna burza i wywołała wiele nieszczęśliwych wypadków. W wielu innych departamentach padał śnieg i panują silne mrozy.

Grac 1 lutego. W listopadzie z. r. skazał sąd przysięgłych w Marburgu sześć osób na śmierć przez powieszenie, a to za zbrodnię morderstwa. Cesarz ułaskawił obecnie 5 osób; ułaskawionym wyznaczono karę od 12 do 20 lat więzienia.

Wiedeń 1 lutego. Dziś zamordowano w II-giej dzielnicy na Augartenstrasse 84-letnią wdowę Teklę Eisenhorst. Rano znaleziono staruszkę w łóżku, w kałuży krwi, nieżywą. Zbrodniarz zamordował ofiarę swą uderzeniami cegły. Dotychczas go nie ujęto.

Petersburg 1 lutego. Car pozwolił gminie petersburskiej zaciągnąć 30 mil. rub. na 4% na różne inwestycye.

Jokohama 1 lutego. Oddział wojska, złożony z 210 ludzi, znalazł śmierć w zawiei śnieżnej w okolicy Amori.

Pekin 1 lutego. Junglu, najznakomitszy po Lihungczanie chiński mąż stanu, „wielki sekretarz dworu", czyli kanclerz, podał się do dymisyi, której cesarzowa nie chce przyjąć.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 1 lutego. A. Grünberg z Odessy. A. Kozicka ze Stanisławowa. T. Kosterś z Londynu. H. Thener z Doroszot. W. Szajna z Drohobycza.

HOTEL FRANCUSKI

Plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 1 lutego. A. Marciszewska z Krakowa. G. Łączyński z Zaborza. J. Wassung z Łuki. W. Jaruntowski z Twierdzy. D. Chlebowicki z Próchnika. S. Róg z Rzeszowa. A. Łokuciejowski z Lipska. J. Wiso z Pragi. R. Müller i A. Ilig z Przemyśla. H. Dłuski z Łanowiec. W. Małecki z Zarubiniec. J. Fallbehmer ze Stryja. W. Dąbrowski ze Schodnicy. D. Wiątkiewicz z Tarnopola. A. Weber z Sielca. E. Stoeger z Mielca. M. Krajewska z Remenowa. L. Dawid z Budapesztu. W. Zdanowicz z Borysławia. J. Nadolski z Kopeczyniec. T. Wojnarowski z Baliniec.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 1 lutego. Hr. K. Krasicki z Rosyi. J. Krzyżanowski z Hulcza. H. Krzyżanowski z Liszek. R. Sękowski z Wydrni. L. Podlewski z Bajkowic. O. Orłowski z Połowiec. P. Mroczkowski ze Stanisławowa. B. Piłatowski z Brodów. Dr. A. Langer z Tarnopola. K. Polański z Rudnik. M. Kempiński z Budapesztu. M. Dyczkowska z Żywca. Fr. Pawlica z Zakopanego. E. Wiśniewski z Buczacza. R. Wurm z Celowca.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 1 lutego. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3% 264 50
" " " " " 1889 3% 256 50
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4% 500.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5% 274.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 251.50
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2% 81.25
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr. 105.—

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18.—, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 402.—, Clary 40 zł. m. k. 163.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 85.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.—. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 73.—, Ofen 40 zł. 191.00, Palffy 40 zł. m. k. 177.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 52.75, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 28·—, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 93.—, Salma 40 zł. m. k. 230.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 80.00, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 218.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 403 00.

Wiedeń 1 lutego. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na wiosnę 9·75–9·76, na maj-czerwiec 0·00—0·00, na jesień 0·00—0·00; żyto na wiosnę 8·16–8·17, na majczerwiec 0·00—0·00, na jesień; kukurudza na maj-czerwiec 5·75—5·76; na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 0·000—0·00; owies na wiosnę 7·76–7·78, na maj-czerwiec 0.00—0.00, na jesień 0·00—0·00. Rzepak na styczeń-luty 0·00—0·00, na sierpień-wrzesień 12·50—12·60. Olej rzepakowy na styczeń-kwiecień 0·00–0·00. — Tendencya: w kukurydzy silna, zresztą słaba. Pogoda: mróz i śnieg.

Budapeszt 1 lutego. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na kwiecień 9·58—9·59, na październik 8·41–8·42; żyto na kwiecień 8·02—8·03, na październik 7·08—7·09; owies na kwiecień 7·48—7·49, na październik 6·34—6·36; kukurudza na maj 5·45–5·46, na lipiec 0·00—0·00. Rzepak na sierpień 12·20—12·30. Oferty na pszenicę: mierne. Chęć kupna słaba. Tendencya: słaba. Pogoda: pada śnieg.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1901 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2·31***, **1 35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 11·45.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·35*, 5·35 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 3·12*, 5·11, 10·2*.
Z Tarnopola: 8·00 (na dw. gł.); 7·40 na Podzamcze
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 8·15, 6·00
Z Janowa 7·45, 5.15.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11*
Do Rzeszowa: 8·30.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·25 11·10*; z Podzamcza: **2·08**, 6·43, 9.42, 11·32*.
Do Tarnopola: 7·10* z dw: głównego i 7·32* z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·25, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic, Żółkwi, Sokala: 10·20, 7·25*.
Do Janowa: 9·15; 7.50*.

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej Z drukarni E. Winiarza